NIEDZIELA

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA LUDU POLSKIEGO W AMERYCE.

N 68. DETROIT, MICH., 18-go GRUDNIA 1892 ROKU. TOM II.

REDAKTOR KS. PA \ EŁ ĆWIĄKAŁA.

Pismo aprobowane przez JW. Biskupa J. Foley'a z Detroit.

KALENDARZYK T·GODNIOWY.

18	Grudz.	N.	Oczek. pl. NMP.
19	,,	P.	Namezyusza
20	,,	W	Teofila męcz.
21	,,	Ś.	Tomasza apostoła.
22	,,	C.	Zenona męcz.
23	,,	P.	Wiktoryi p. m.
24		S.	Adama i Ewy.

Listy i przedpłatę

WYSYŁAĆ NALEŻY POD ADRESEM:

The Polish Weekly

„NIEDZIELA"

DETROIT, MICH.

POLISH SEMINARY,

Cor. St. Aubin and Garfield Ave's.

PRZEDPŁATA WYNOSI:

W Stanach Zjedn.

	Rocznie	Półr.	Kwart.
	$ 2.00	$ 1.00	50 c.
W Austryi.	5 złr.	2.50złr.	1.25.
W Niemczech.	10 mk.	5 mk.	2.50.

Entered at the Detroit, Mich., Post Office as second class Mail matter.

IGNACY WOLFF
FABRYKANT TABAKI DO ZAŻYWANIA.



Wyrabia tabakę w najlepszym gatunku na sposób ztarokrajski. Za nadesłaniem znaczka 2 centowego wyseła próbki.

Ceny tej tabaki nie podaję, gdyż wyrabiam ją w wielu gatunkach. Każdemu żądającemu próbkę tej tabaki dołączam cennik.

778 DUBOIS STR.
Detroit, Mich.

NORTH GERMAN LLOYD
LINIA POCZTOWA POMIĘDZY
Baltimor i Bremen.

Następujące parowce:
DRESDEN, KARLSRUHE, DARMSTADT, WEIMAR, MUENCHEN, STUTTGAT, GERA, OLDENBURGH.

Cena przejazdu w kabinach czy też pod pokładem bardzo przystępna. Tykiety tam i z powrotem po cenach zniżonych.

Wyżej wymienione parowce są ze stali, całkowicie nowe, zbudowane najlepszym sposobem i wygodnie urządzone.

Długość od 415—435 stóp, szerokość 48 stóp. Kabiny—salony—pokoje do palenia etc. znajdują się na wyższym i spacerowym pokładzie. Światło elektryczne wszędzie, nawet pod pokładem. Szczególniejsza uwaga zwrócona na wygodę i wentylacyę pod pokładem. Ułatwienia, jakie daje Baltimore-Bremen Linia są nieporównane. Stacye kolejowe są o kilka kroków tylko od miejsca wyladowania. Duchowni różnych wyznań oczekują na przybycie emigrantów i dopomagają im bezpłatnie. Doświadczony tłomacz, mówiący kilkoma językami odprowadza emigrantów aż do Chicago. Sam fakt, 2.250.000 osób bezpiecznie odbyło podróż na North German Lloyd — dostateczne daje świadectwo naszej linii.

Po dalsze szczegóły proszę adresować:

A. Schumacher & Co.
No. 5 S. Gay Str. Baltimore, Md.

Albo do agentów znajdujących się po wszystkich miejscowościach Stanów Zjed.

W Detroit: Tom. ŻOŁTOWSKI, Jul. STOLL, R. H. ZIEGLER, Firmin KOPP, 497 Gratiot Ave.

Polecamy względom Sz. Sz. Rodaków

WIELKI
SKŁAD UBIORÓW
LESZCZYNSKIEGO I MELINA
cor. Hastings i Willis Ave.

W nowo-otwartym składzie znajdziecie Sz. Sz. Rodacy wielki wybór

UBIORÓW GOTOWYCH

dla mężczyzn, młodzieży, chłopców i dzieci

☞ po CENACH NAJTANSZYCH

wykonujemy również ubrania i na **obstalunki** według najnowszych żurnali. Materyały dobrowe sprowadzamy w większej części z New Yorku i to za gotówkę, wskutek czego możemy sprzedawać i przyjmować obstalunki o POŁOWĘ TANIEJ, aniżeli w innych tego rodzaju składach w Detroit. Przyjdźcie a przekonacie się!

P. LESZCZYNSKI I F. MELIN

SŁUPY, GONTY,

DRZEWO BUDULCOWE

HUNTON MYLES & WEEKS

OFFICE 88 GRISWOLD

CENY NIZKIE.

SKŁADY: 1013 Russell Str.
210 Franklin Str.
Michig. Av. D.L. & N.R.R.

LETLE. SZTACHETY

ANTONI OSEBOLD JR.
FABRYKA I SKŁAD
MEBLI KOŚCIELNYCH.
OŁTARZY, KAZALNIC, CHRZCIELNIC,
STATUŁY z drzewa, kamienia i marmuru.

Plany i rysunki wysełam na żądanie.

1033 GRATIOT AVE. DETROIT, MICH.

CHAS. C. BREWE
następca po LUTGE

poleca swój

ZAKŁAD FOTOGRAFICZNY
jako jeden z najlepszych w mieście Detroit.

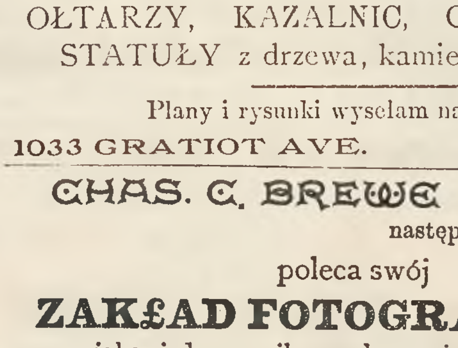
Za dobrą robotę ręczy. 53 Monroe Ave.

FR. X. PETZ,
Skład ZEGARÓW, ZEGARKÓW I JUBILERSKICH przedmiotów. Pierścionki ślubna tanio i we wielkim wyborze. Wszelkie reperacye wykonuje tanio i prędko.

466 GRATIOT AVE DETROIT

Bank oszczędności.

Kapitał, nadwyżki i zobowiązania akcyon. $1.125.000
Depozyta 6.75.0000



Pośredniczy w stosunkach finansowych między Ameryką i starym krajem. Posyłki do starego kraju przez „Money Order" wysyłamy bezpłatnie. Podarunki na kolędę lub Nowy Rok wysyłamy do starego kraju w ratach bardzo małych spłacane, bezpiecznie i sumiennie

M. W. O'BRIEN F.A. SCHULTE G.E. LAWSON
Prezydent. Wiceprezyd. Kasyer.

ANT. V. CZAPP & CO.
SKŁAD
Towarów Bławatnych i Bielizny męzkiej.

Towar dobry i w wielkim wyborze.

☞ Kto kupi u mnie towaru wartości przynajmniej 50 c. jednorazowo otrzyma tykiet. Posiadający najwięcej tykietów, otrzymają prezent na gwiazdkę.

576 Gratiot Ave.
pomiędzy Dequindre i St. Aubin Ave.

ZAPROSZENIE DO PRZEDPŁATY.

Z dniem 1 Stycznia 1893 r. rozpoczniemy III rocznik wydawnictwa ,,Niedzieli", tygodnika illustrowanego dla ludu polskiego w Ameryce, który przy pomocy Bożej i życzliwości czytającej publiczności potrafił zjednać sobie uznanie i chętne przyjęcie w polskich rodzinach.

Chociaż pismo nasze walczyć musiało w początkach swego istnienia z brakiem środków materyalnych, często z niechęcią lub uprzedzeniem, przecież przez godziwe i szlachetne tendencye swoje, pozyskało taką liczbę czytelników, iż z dobrą nadzieją dalszego przez nich poparcia od Nowego Roku **znacznie powiększonem zostanie**, by ile możności zaspokoić potrzeby swoich czytelników.

O osobiste korzyści lub cele uboczne nikt nas posądzić nie może, pismo bowiem nasze dla dobra ogólnego wydajemy, a zadania jego są jasne, jak i zakładu, przy którym wychodzi: szerzenie światła i nauki, utwierdzanie we wierze świętej, utrzymywanie cnót narodowych i moralności, tudzież zachowanie ducha i języka polskiego na obczyźnie.

Wolni od wszelkich zatargów stronniczych i polemik dziennikarskich i w przeświadczeniu, iż choć w drobnej części zadaniu naszemu odpowiemy, śmiało i wytrwale do celu zmierzać będziemy, licząc na poparcie rodaków, którzy wartość i dążności naszego pisma snadnie ocenić i uznać potrafią.

Niech nam wolno będzie przy tej sposobności zaznaczyć, iż dochód z wydawnictwa ,,Niedzieli" przeznaczony na utrzymanie i rozwój Seminaryum Polskiego w Detroit. Jest to pierwszy i jedyny dotychczas wyższy polski zakład wychowawczy, gdzie młodzież znajdując zupełne utrzymanie, pobiera nauki w ojczystym języku, gdzie czerpie wiedzę, aby kiedyś, czy to jako słudzy ołtarza, szerzyli światło prawdziwej wiary i stali na straży pamiątek narodowych, czyto w innych zawodach, na które Bóg ich powoła, — a do których gruntowna znajomość języka angielskiego tu udzielanego, otwiera im drogę — byli dobrymi i prawymi obywatelami. Wspierając tedy nasze pismo — wspiera się i ten zakład, do którego coraz więcej garnie się polskiej młodzieży.

Rozszerzając pismo nasze Redakcya dołoży wszelkich starań i niczego szczędzić nie będzie, aby ,,Niedziela" stanęła na wyżynie pierwszorzędnych pism tego rodzaju, i tak formą zewnętrzną, doborem i starannością illustracyj, tudzież rozmaitością treści, odpowiedziała wszelkim wymaganiom Szanownych Czytelników.

Oto podział i treść rzeczy, które—ile możności—znajdą pomieszczenie w ,,Niedzieli":

Nauki moralne: z żywotów świętych, przykłady, wzory, obrzędy Kościoła katolickiego itp.
Opowiadania z dziejów ojczystych: ustępy historyczne, rocznice, życiorysy, wspomnienia, pamiętniki itp.
Powieści.
Wynalazki i odkrycia.
Opowiadania z nauk przyrodniczych.
Krótkie powiastki, poezye.
Myśli, zdania, sentencye, maxymy.
Anegdoty.
Poradnik domowy.
Drobne wiadomości.
Statystyka.
Kącik dla dzieci.
Zagadki, szarady, łamigłówki.

ZE ŚWIATA.

Telegramy.
Ostatnie wiadomości.
Z pod trzech zaborów: Rosyjskiego, Pruskiego, Austryackiego.
Z innych stron.
Korrespondencye.
Kronika.
Objaśnienia do rycin.
Odpowiedzi Redakcyi.
Anonse i ogłoszenia.

Szeroki ten program części belletrystycznej, Redakcya starać się będzie wypełnić najcelniejszymi utworami z literatury polskiej, lub najlepszemi tłómaczeniami z obcych języków, w części zaś politycznej najświeższymi wiadomościami, w illustracyach podamy już to znakomite osobistości, epizody historyczne, zabytki starożytności, dzieła przemysłu, budownictwa, sztuk pięknych lub szkice humorystyczne.

Licząc tedy na dalsze poparcie Szanownych Czytelników, przystępujemy do **rozszerzenia ,,Niedzieli" nie podnosząc prenumeraty.**

Prenumerata wynosi jak dotychczas:

	rocznie:	półrocznie:	kwartalnie:
W Stanach Zjedn. i Kanadzie	$2.00,	$1.00,	50 cnt
W Niemczech:	10 mk.	5 mk.	2.50 mk.
W Austryi:	5 złr.	2.50 złr.	1.25 złr.

Prenumeratorowie z góry opłacający abonament otrzymują bezpłatnie jako premię KALENDARZ opatrzony licznemi illustracyami i doborową treścią.

Polecając ,,Niedzielę" przychylności Czytelników, pozdrawiamy Ich w Chrystusie

Redakcya „Niedzieli".

UWAGA: Prenumeratę składać można osobiście lub listownie w Seminaryum Polskiem, w Detroit, Mich.

NIEDZIELA

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA LUDU POLSKIEGO W AMERYCE.

N 18. DETROIT, MICH., 18-go GRUDNIA 1892 ROKU. TOM II.

REDAKTOR KS. PAWEŁ ĆWIĄKAŁA.

Pismo aprobowane przez JW. Biskupa J. Foley'a z Detroit.



WIDMO NA ŚPIŻU.

Z SIEWÓW NIEDZIELNYCH.

O bractwach pobożnych w chrześciańsko-katolickim kościele.

Zapewne każdy z Szanownych Czytelników należy do jakiegoś towarzystwa kościelnego. O korzyściach i skutkach podobnych towarzystw kościelnych nie potrzebujemy nawet się rozpisywać, wiedzą o tem bardzo dobrze ci, co do tych towarzystw należą. Towarzystwa te i bractwa kościelne są tu na ziemi amerykańskiej prawie koniecznymi. Niech nie sądzą jednak Szan. Czytelnicy, że podobne bractwa i towarzystwa są tylko dla katolików w Ameryce dobrymi, gdzież tam, wszędzie gdzie tylko kościół istnieje przynoszą one niezliczone korzyści moralne. Początek tych bractw kościelnych sięga odległej starożytności. Śmiało można powiedzieć, że powstały one razem z kościołem. Tylko że dawniej kojarzyła je głęboka wiara, gorąca miłość Boga i bliźniego, a dzisiaj, niestety, wyznać trzeba, że chrześcianie katolicy łączą się w podobne bractwa więcej może dla korzyści materyalnych jak duchowych.

Dopóki religia głęboko przejmowała wszystkich, dopóty wszystkie postanowienia i instytucye oparte na religii miano za potrzebne i użyteczne. Odkąd zaś oziębłość wzięła górę między wiernymi, z obojętnością w rzeczach religii wzrastała obojętność dla instytucyi kościelnych; stąd i bractwa, chociaż w najlepszym celu zaprowadzone, zaczęto uważać za mniej potrzebne i użyteczne. Jeżeli jednak zważymy dobrze zamiar, dla którego oneż zaprowadzono, i rozbierzemy pilnie dobre skutki, jakie z tychże spływały i spływają na moralność towarzystwa, okaże się, że i Bractwa pobożne miały swą wartość i nie zasłużyły na to, by je zwano wynalazkiem zabobonu. Wszystkie bractwa w kościele katolickim nie w innym celu były zaprowadzone i od kościoła dozwolone, tylko by lud przywiązać do pobożności, a przez pobożność zabezpieczyć razem onegoż moralność, polepszyć obyczaje, odwrócić od szkodliwych zwyczajów i zabaw i podać mu sposobność do ćwiczenia się w cnocie i doskonałości chrześciańskiej. Pospolicie gdzie bractwo powstało, tam ledwo nie wszyscy gospodarze i gospodynie wpisując się przyjmowali na siebie obowiązek zgromadzania się w kościele w dnie świąteczne bez wyjątku nietylko na nauki i mszę św., ale razem w godzinach wolnych przed nauką i sumą odśpiewania koronki, modlitw i pieśni pobożnych nietylko rano, lecz nawet po południu przed katechizmem, lub nieszporami. Lud więc zajęty tem nabożeństwem przepędzał wolne godziny w kościele, nie miał czasu uczęszczać do szynku, trwonić majątku i zdrowia na trunkach, kartach, tańcach, lub innych mniej przyzwoitych zabawach, ale większą część niedzieli i święta poświęcał Bogu trzeźwości, odwiedzaniu chorych, grzebaniu umarłych i innym dobrym uczynkom. Co więcej, rzemieślnik przyzwyczajony od dzieciństwa do pobożnego w kosciele zatrudnienia, wśród pracy domowej przy warsztacie nucił sobie pieśni nabożne, podnosił myśli swe do Boga, ożywiał w sobie wiarę, stawał się sumiennym zachowawcą nietylko religii ale nawet i wszystkich towarzyskich obowiązków, z żywą wiarą razem skromne, pobożne i dobre wiódł życie, przez co dając dobry przykład swym dzieciom i swojej czeladzi, zaszczepiał w nich praktycznie nietylko sumienne ale i moralne uczucia. Towarzystwo zaś przez to nie miało nic do stracenia, owszem zyskiwało dobrych ojców, małżonków, obywateli, stan nawet duchowny usposobionych dla swego powołania aspirantów, a ludzkość sumiennych, rzetelnych i w każdym względzie poczciwych ludzi. Jakoś w istocie obyczajność ludu była wówczas wyraźnie lepsza, większa rzetelność w dochowaniu umów, wierność w usługach, skromna wstydliwość w płci obojej, stateczność w starszych powszechniejsza. Dziś skarżą się powszechnie, że te towarzyskie cnoty są coraz rzadszemi, rozwolnienie w obyczajach bierze górę, i że brak sumienności w ludziach daje się coraz więcej spostrzegać.

Jakże inaczej dzisiaj zapatrują się na te instytucye kościelne sami nawet katolicy, nieraz z lekceważeniem o nich się wyrażają—i nie dziw! Dzisiaj duch obojętności religijnej, duch zepsucia i bezwyznaniowości jakoby jaka fala zalewa wszystkich i wszystko. Jad zepsucia pochodzący od bezwyznaniowych sekt protestanckich, wciska się niestety do serc zawsze wiernych i silnie przy kościele katolickim stojących Polaków!

Szczególnie młodsza generacya, zrodzona i wychowana tu na wolnej ziemi amerykańskiej wraz z źle pojętą wolnością osobistą, przywłaszcza sobie wolność w rzeczach religijnych, za czem idzie zupełna obojętność dla Kościoła i spraw Bożych! Jedynem lekarstwem na tę chorobę obojętności religijnej naszej młodzieży jest dobre wychowanie a powtóre bractwa kościelne, które są może jedyną deską ratunku i ocalenia. W jakim duchu i celu były podobne bractwa zaprowadzane w początkach Kościoła katolickiego, najlepiej wykaże krótki ich rys i historya jaką umieszczamy Szanownym Czytelnikom.

W obszernem znaczeniu bractwa pobożne razem z religią chrześciańską powstały. ,,Wszyscy bowiem, którzy uwierzyli, byli pospołu i wszystko mieli wspólne. Osiadłości i majętności sprzedawali i obdzielali niemi wszystkich, jako każdemu było potrzeba. Co dzień też trwali jednomyślnie w kościele.'' Z tąd ukształciły się następnie bractwa zakonne według pewnych reguł już w puszczach, już w zgromadzeniach klasztornych żyjące, później zaś bractwa pobożne już z duchownych już z świeckich złożone, mające za cel tylko pomnażanie chwały Boga i dopełnianie pewnych miłości chrześciańskiej obowiązków. Już w trzecim wieku ery chrześciańskiej za czasów ś. Dyonizego biskupa Alexandryjskiego w Egipcie, znano i wybierano z niższego kleru braci, czyli kuratorów zwanych ,,parabolani'' (od słowa parabolos śmiały, odważny) śmiało i odważnie podczas powietrza poświęcających się na usługę chorych i grzebanie zmarłych. Tych było 500. prawem Teodozego cesarza następnie potwierdzonych i z klasy uboższej pospolicie pobieranych. Wszakże niewzbronionem było wpisać się w to bractwo i możniejszym.

W kościele zachodnim nie znano wprawdzie pa-

rabolanów, lecz za to podobnych braci po nazwiskiem: Copiatae, Lecticarii, Fossarii, Mansionarii. Tych było obowiązkiem pilnować chorych, ciągle przebywać przy nich, podawać lekarstwa, dbać o ich ciało równie i o duszę, a gdy zamkną powieki, zająć się ich pochowaniem. Później podobne bractwa zamieniły się w zgromadzenie Dobrych braci (Bonifratres) i Sióstr miłosierdzia.

Tak w wschodnim jak i zachodnim kościele istniały domy pielgrzymów ksenodochia, domy chorych nosocomia, ptochotrofia ubogich, orphanotrofia sierot. Kuratorami tychże byli bracia już świeccy już duchowni pod zarządzeniem i opieką Biskupów.

(Dokończenie nastąpi.)

NA WĘZEŁ OJCZYSTY.

Z DZIADÓW
ADAMA MICKIEWICZA
Część trzecia.

(Ciąg dalszy.)

— Ah!... dawano mu takiej strawy, że dość było nią w pokoju zakadzić aby wszystkie myszy wytruć i świerszcze wygładzić... mówił zawsze wesoły Frejend.

— Jakże ty mogłeś to jeść? spytał Żegota zwracając się do Jana, a ten po chwili odrzekł z cicha:

...Tydzień nic nie jadłem,
Potem jeść próbowałem, potem z sił opadłem,
Potem jak po truciźnie czułem bóle, kłucia,
Potem kilka tygodni leżałem bez czucia.
Niewiem ile i jakiem choroby przebywał,
Bo nie było doktora coby je nazywał,
Wreszcie jam wstał, jadł znowu i do sił przychodził
I zdaje mi się, żem się do tej strawy zrodził.

Współwięźniowie i towarzysze słysząc te słowa zadumali się. Cisza zaległa celę. Wreszcie ozwał się Frejend, bo on zawsze pragnie wszystkich rozweselić choć sam cierpi boleśnie:

Nasz Tomasz tak przywyknął, że mu powiew zdrowy
Zaraz piersi obciąża, robi zawrót głowy,
On odwyknął oddychać, nie wychodzi z celi,
Jeśli go ztąd wypędzą bardzo się opłaci,
Bo on potem ni grosza na wino nie straci,
Tylko łyknie powietrza i wnet się podchmieli.

A na to przerwie Jan — ten szlachetny poczciwy młodzian.

— Wołałbym ja sam znosić jeszcze większe męczarnie, być pod ziemią w głodzie i chłodzie, brać kije i jeszcze gorsze jak kije to śledztwo wobec Nowosilcowa, byle tylko was uratować. O! łotry!... oni nas wszystkich chcą zgubić!

— Więc cóż przyjacielu? — mówi Frejend — płakałbyś dla tego?... Cóż za korzyść z życia takiego w więzieniu?... Ja i wielu towarzyszy to tylko szablą umiemy służyć ojczyźnie, ty zaś więcej umiesz zdziałać. Każdy z nas znów oddałby życie, byle ciebie uwolnić lub tego poetę naszego Konrada. Wy wiecie że was kocham i choć łez nie leję — cierpię. Lecz i wy się nie smućcie — bo jak ja się rozczulę i pocznę płakać to zagaszę ogień i nie zrobię wam herbaty.

Ale trudno o wesele, gdy tak cierpieć trzeba niewinnie.

Frejend zaczął robić herbatę — a w kaźni więziennej cisza zapanowała. Po chwili przemówił ksiądz:

— Porzućmy łzy... Może ma kto jaką nowinę z miasta?

A wszyscy na to ozwali się:

— Nowin! o tak. kto był dziś na śledztwie niech powie, co słychać nowego?...

— Jan Sobolewski chodził tam dzisiaj, ale z jego miny poznać, że wieści bardzo ponure.

Sobolewski szepnął:

— Dziś — na Sybir... dwadzieścia kibitek powieźli.

— Kogo?... naszych?...

— Studentów ze Żmudzi.

— Na Sybir?... i mego brata wywieźli — widziałeś? spytał Jacek, a Sobolewski rzekł:

...Wszystkich do jednego,
Sam widziałem... Wracając prosiłem kaprala
Zatrzymać się, pozwolił chwilkę. Stałem zdala,
Skryłem się za słupami kościoła. W kościele
Właśnie msza była, ludu zebrało się wiele,
Nagle lud cały runął przeze drzwi nawałem,
Z kościoła ku więzieniu. Stałem pod przysionkiem
I kościół był tak pusty, że w głębi widziałem
Księdza z kielichem w ręku i chłopca ze dzwonkiem.
Lud otoczył więzienie nieruchomym wałem;
Od bram więzienia na plac, jak w wielkie obrzędy,
Wojsko z bronią, z bębnami, stało we dwa rzędy;
W pośrodku nich kibitki... Patrzę z placu sadzi
Policmajster na koniu; z miny zgadłbyś łatwo,
Że wielki człowiek, wielki tryumf poprowadzi.
Tryumf cara północy, zwycięzcy nad — dziatwą!
Wkrótce znak dano bębnem i ratusz otwarty,
Widziałem ich, za każdym z bagnetem szły warty,
Małe chłopcy, znędzniałe, wszyscy jak rekruci
Z golonemi głowami na nogach okuci.
Biedni chłopcy! Najmłodszy, dziesięć lat, nieboże,
Skarżył się, że łańcucha podźwignąć niemoże
I pokazywał nogę skrwawioną i nagą;
Policmajster przejeżdża, pyta czego żądał,
Policmajster człek ludzki, sam łańcuch oglądał,
„Dziesięć funtów, zgadza się z przepisaną wagą“
Wywiedli Janczewskiego... poznałem, oszpetniał,
Zczerniał, schudł, ale jakoś dziwnie wyszlachetniał
Ten przed rokiem swawolny, ładny chłopczyk mały,
Dziś poglądał z kibitki, jak z odludnej skały
Ów cesarz — okiem dumnem, suchem i pogodnem,
To zdawał się pocieszać spólników niewoli,
To lud żegnał uśmiechem gorzkim lub łagodnym,
Jak gdyby im chciał mówić: nie bardzo mię boli.
Wtem, zdało mi się, że mnie napotkał oczyma,
I nie widząc, że kapral za suknię mię trzyma,
Myślał żem uwolniony: dłoń swą ucałował
I skinął ku mnie, jakby żegnał i winszował,
I wszystkich oczy nagle zwróciły się ku mnie,
A kapral ciągnął gwałtem ażebym się schował,
Nie chciałem, tylkom stanął bliżej przy kolumnie,
Uważałem na więźnia postawę i ruchy,

On postrzegł, że lud płacze patrząc na łańcuchy,
Wstrząsnął nogą łańcuch, na znak że mu niezbyt
(ciężył,
A wtem — zacięto konia: kibitka runęła,
On zdjął kapelusz z głowy, wstał i głos natężył
I trzykroć krzyknął: ,,Jeszcze polska nie zginęła!"

Zniknęli w tłumie — ale długo widać było jeszcze tę rękę wzniesioną ku niebu. O Boże!... ta ręka młodziana wzniesiona ku niebu i ta postać młodziana tak wbiły mi się w pamięć, że zdaje mi się... i w godzinę śmierci o nich nie zapomnę.

Sobolewski przestał na chwilę — potem dalej mówił:

Tymczasem zajeżdżały inne kibitki. Spojrzałem po ludziach stojącego wkoło i patrzących na to, wszyscy z przerażeniem widzieli to — trupia bladość okryła ich lica... A było tak cicho — że najwyraźniej każdy dźwięk łańcucha słychać było. Wszyscy czuli, wiedzieli, że to nieludzki postępek, że kara sroga nazbyt, a przecież każdy bał się to powiedzieć...

Wywiedli ostatniego.

Zdało się, że wzbraniał,
Lecz on biedny iść nie mógł, co chwila się słaniał,
Zwolna schodził ze schodów, i ledwie na drugi
Szczebel stąpił, stoczył się, i upadł jak długi.
To Wasilewski, siedział tu w naszym sąsiedztwie,
Dano mu tyle kijów onegdaj na śledztwie.
Że mu odtąd krwi kropli w twarzy nie zostało,
Żołnierz przyszedł i podjął z ziemi jego ciało.
Niósł w kibitkę na ręku, ale ręką drugą,
Tajemnie łzy ocierał; niósł powoli — długo...
Wasilewski nie zemdlał, nie zwisnął, nie ciężał,
Ale jak padł na ziemię prosto, tak otężał.
Niesiony, jak słup sterczał i jak z krzyża zdjęte
Ręce miał nad barkami żołnierza rozpięte....

Lud jęknął boleśnie — ale komenda dała znak by uderzono w bębny, krzyknięto marsz... i krzyk ten zagłuszył jęk i płacz ludu.

Kibitki pomknęły. Jedna zdawało się że pusta. Lecz nie. Był w niej żołnierz tylko nie widoczny, leżał bez duszy i rękę trupią wyciągnął do Boga.

Gdy owa kibitka przejeżdżała obok kościoła właśnie wtedy dzwonek dawał znak Podniesienia.

Spojrzałem w kościół pusty i rękę kapłańską
Widziałem, podnoszącą Ciało i Krew Pańską.
I rzekłem: Panie! Ty, co sądami Piłata
Przelałeś krzew niewinną dla zbawienia świata,
Przyjm tę z pod sądów cara ofiarę dziecinną...
Nie tak świętą, ni wielką, lecz równie niewinną.

. . . .

Anioł ciszy przeleciał nad głowami więźniów... Istotnie czyż mogli oni przemówić bodaj słowo po tem, co usłyszeli. Wszak na takie czyny słów się nie znachodzi...

Biedni więźniowie!... biedne dzieci porwane w Sybir.

Gdy przeszło sporo czasu rzekł jeden:

— Słyszeliśmy o wojnach w bardzo dawnych czasach. Powiadali, że nieprzyjaciele, nawet drzewa palili w lasach i zboża na polach niszczyli, ale car teraz, jeszcze lepiej robi. On nawet ziarna niszczy, by plonu nie dały.

— Ot — lepiej pomódlmy się bracia, przemówił ksiądz ocierając oczy z łez... pomódlmy się... Bóg nasza nadzieja.

Wreszcie Frejend przemówił to i owo, aby rozweselić braci — wypito herbatę... jeden zaśpiewał piosenkę, potem kapral ich pilnujący, człek dobry, wmięszał się do rozmowy, a wreszcie jeden z więźniów począł śpiewać.

Podczas pieśni — Konrad zbladł — zmienił się... Czy chory?

Zaniepokoili się tem więźniowie... Jeden z towarzyszy wyjął flet, począł grać --- a Konrad zaśpiewał pieśń inprowizowaną to znaczy taką, że on się jej nie uczył ani od nikogo nie słyszał lecz w jednej chwili sam z siebie ją wysunął.

Była to pieśń smutna... pragnąca zemsty na wrogu za tyle krwi niewinnie przelanej.

Wtem ozwał się dzwonek. Wszyscy ruszyli czemprędzej do swoich celi, aby ich tak straż nie zastała razem, a Konrad zostawszy sam --- padł bezprzytomny na ziemię.

Na tem kończy się pierwsza scena części trzeciej Dziadów. (C. d. n.)

O ZŁOTYCH TŁACH.

O OJCOWIZNĘ

CZYLI
JAK SOBIE JEDEN CHŁOP Z NIEMCAMI PORADZIŁ.
Z POWIEŚCI
BOLESŁAWA PRUSA
p. t.
„PLACÓWKA."

(Ciąg dalszy.)

IV. Straszne Nieszczęście.

Nigdy jeszcze Slimak nie czuł się tak zadowolonym, jak tej wiosny. Bo i odpoczywał sobie za wszystkie czasy i napatrzył się nowych rzeczy. Dawniej dzień wlókł mu się ciężko, dziś co innego. Ślimak wysypia się, ile chce. Czasem żona z przyzwyczajenia targnie go za nogę, mówiąc: ,,wstawaj, Józek!"— ale wówczas chłop, odchyliwszy jedno oko, aby mu sen nie uciekł, mruczy: ,,daj mi ta spokój!" — i śpi dalej, bodajby do siódmej godziny, kiedy we wsi kościelnej dzwonią na mszę poranną.

W istocie, nie miał do czego wstawać! Wiosenne roboty w polu oddawna ukończył Maciek, a do dworu także nikt nie wołał Ślimaka, bo dworu nie było.

Czasem po parę dni nie tknął chłop żadnej roboty... Palił fajkę, wałęsał się między budynkami, albo oglądał bujnie wschodzące zasiewy. Najmilszą jednak rozrywką dla niego było wejść na wzgórze, ukłaść się pod sosną i patrzeć na wyrastające z ziemi, jak grzyby, kolonije niemieckie.

Do końca maja Hamer już się całkowicie pobudował, a trzej inni, sąsiedzi Ślimaka, kończyli swoje folwarki. Ładnie było spojrzeć na ich gospodarstwo! Każdy folwark stał na środku pól, a wszystkie podobne do siebie, jak kropla wody. Przy drodze dwu.

morgowy ogród, otoczony drewnianym płotem w kwadrat.

Każda z budowli była bezporównania szersza, dłuższa i wyższa od chłopskich; wyglądały czysto i gładko. Widać było duże okna, sześcioszybne, i drzwi, robione po stolarsku. Jędrek zaś, który codnia wybiegał między niemców, opowiadał jeszcze, że w izbach jest podłoga, że kuchnia w domu jest osobno i ma piece z żelaznemi blatami.

Takim to porządkom gospodarskim przypatrywał się Ślimak zpod swojej sosny, rozmyślając, że kiedyś i on zabuduje się w podobny sposób, tylko dachy postawi inne. A gdy tak rozmyślał, czasem coś nagle stawiało go na nogi. Chciał gdzieś iść, zabrać się do jakiejkolwiek roboty, bo mu było nudno i wstyd, że próżnuje; to znowu ogarniał go niepokój, jakby ktoś pukał mu do piersi i pytał: ,,a co będzie dalej?"

Wówczas zdejmowała go tęsknota za dworem, za temi polami, po których niedawno chodził z pługiem, gdzie dziś wyrosły kolonije. To znowu opanonywał go wielki strach, że nie da sobie rady, jak się wezmą do niego niemcy, którzy las wycięli, potrzaskali dynamitem kamienie, ba! wygnali samego dziedzica.

Wnet jednak uspakajał się. Patrzy przecie na niemców i sąsiaduje z nimi od dłuższego czasu i nic od nich złego nie doświadczył. Robią koło swoich budynków, bydła pilnują, ażeby nie właziło w szkodę, a nawet dzieci ich nie zbytkują, tylko uczą się wszystkie w domu Hamera, gdzie osiadł bakałarz...

Jest nawet lepiej, ponieważ od dnia przyjazdu wiele u Ślimaków kupują i dobrze płacą.

Sprzedał im do tej pory dwoje cieląt, trzynaścioro prosiąt, jedenaście gęsi i sześć korcy zboża, nie licząc drobiu, masła i kartofli. Nawet zapleśniały wianek grzybów — i ten im się przydał, i za niego zapłacili.

W miesiąc niespełna wziął od nich Ślimak ze sto rubli prawie bez żadnej pracy.

Wprawdzie żona nieraz mówiła mu:

— Co ty myślisz, Józek, że oni zawsze będą od ciebie kupować? Przecie oni także mają gospodarstwa, lepsze od twego. Radość będziesz miał z nimi co najwyżej do zimy, bo potem na obwinięcie palca od nas nie kupią.

— Zobaczy się, jak będzie--odpowiadał chłop.

W duszy zaś przemyśliwał, że choćby nie kupowali niemcy, to jeszcze niemało zarobi od tych, co kolej budują, byle tylko zbliżyli się w tę stronę. Robił nawet zakupy.

Jakoż w końcu maja Owczarz doniósł Ślimakowi, że od kilku dni niemcy przed wschodem słońca wysyłają gdzieś furmanki. Furmanki bawią za domem cały dzień, a wracają późno wieczór. Następnie zaś znowu podpatrzył Owczarz, że Fryc Hamer wywozi z domu wory mąki, krup i połcie słoniny.

Wiadomości te sprawiły, że Ślimak począł znowu wstawać raniej i ze wzgórza śledzić okolicę. Przekonał się, że istotnie z każdej kolonii niemieckiej, skoro świt, wyjeżdżają furmanki, ale dokąd,—nie mógł wymiarkować.

Aż jednego dnia, patrząc trochę na prawo od kościoła, zobaczył w północno-zachodniej stronie, daleko za polami, jakiś żółty punkt. Punkt ten ku wieczorowi powiększył się, na drugi dzień wyglądał jak kreska, stopniowo rósł, a wkońcu zrobił się, jakby żółty piasek. Jednocześnie dowiedział się Ślimak od Jędrka, że wracające z roboty wozy niemców zawalane są piaskiem i gliną.

— A nie pytałeś się, gdzie oni jeżdżą? — spytał Ślimak.

— Pytałem, ale mnie zaraz przegnał Fryc Hamer, ten co z brodą—odparł chłopak

— Ehej!--zawołał z radością Ślimak — wiem ci tera, gdzie oni bywają. To pewnie kolej się już buduje, ani wątpić.

— Dziwno, że do nas nie zaglądał jeszcze żaden kolejnik za kupnem—wtrąciła Ślimakowa.

— Bo jeszcze są daleko. Ale ja sam do nich pojadę—odparł Ślimak.— Hycle szwaby! — dodał po namyśle — jak to strzegą interesu, żeby kto inny nie zyskał...

— A jedź-że prędzej w tamtą stronę! — zawołała kobieta.

— Chłop obiecał, że pojedzie jutro zrana. Ponieważ jednak zaspał, trochę zmarudził, a potem powiedział, że już zapóźno jechać, więc ledwie następnego dnia wygnała go z domu żona.

Z godzinę jechał bocznemi drogami, nim wkońcu trafił do robót. Z daleka już widział ogromne, podobne do pagórków, kupy gliny, na których uwijała się ze setka ludzi nietutejszych. Były to chłopy wielkie i brodate, w kolorowych koszulach. Jedni kopali glinę, a drudzy odwozili ją na bok w rozłożystych taczkach.

Ślimak ze zdumieniem oglądał góry i przepaście, w tak krótkim czasie ludzkiemi rękami wygrzebane.

Podjechawszy bliżej, zaczepił jednego z taczkarzy, lecz ten mu nawet nie odpowiedział, zajęty swoją ciężką robotą. Na szczęście dojrzało go paru takich, którzy nic nie robili, a między nimi żydek w krótkim surducie.

— Co to chcesz, gospodarzu?—spytał Ślimaka.

— Przyjechałem się zapytać, może panowie potrzebują krupów albo sadła?

— Mój kochany— odpowiedział żyd—my tu mamy swoich dostawców. Dobrzebyśmy wyszli, gdyby nam przyszło kupować każdą kwartę kaszy od chłopów.

Żyd już odchodził, ale Ślimak, kłaniając się, zapytał znowu:

— A z furmanką nie zarobiłbym u państwa?

— Jedź w tamtą stronę, gdzie wożą piasek i żwir, to może cię wezmą.

Chłop siadł na wóz i, okrążając kawał drogi, dobił się do innego miejsca, gdzie sypano olbrzymi wał z piasku. Tu zobaczył kilkadziesiąt furmanek, a między niemi wozy niemieckich kolonistów.

Dojrzeli go i inni, bo wnet znalazł się przy nim Fryc Hamer. Wyglądał, jakby dozorca.

— Skądeś się tu wziął? -zapytał gniewnie.

— Chciałem się i ja wynająć do roboty.

Niemiec zmarszczył brwi.

— Nic tu nie zarobisz — rzekł. Widząc zaś, że Ślimak ogląda się i czeka, podszedł do pisarza i chwilkę z nim porozmawiał

Teraz pisarz przybiegł do chłopa, już z drogi wołając:

— Nie trzeba furmanek! nie trzeba... I tych mamy za dużo... Nie masz tu co czekać, bo tylko innym drogę zawalasz. Zjedź nabok.

A mówiąc to, tak się złościł i krzyczał, że chłop zmieszał się. Skręcił na bok konie tak prędko, że mało wozu nie wywrócił i jeszcze prędzej odjechał. Z godzinę błądził po jarach, nim wkońcu wydostał się na otwarte pole. Przed sobą spostrzegł wieś kościelną.

— Przecie z tej wsi chodziły chłopy do roboty i



Dzieci, które grzeczne były,
Które pilnie się uczyły,
Co rodziców swych słuchały
Będą ładną gwiazdkę miały.—

Patrzcie jak mam rzeczy wiele
Dobre dzieci ja obdzielę—
Co któremu dać wypada
Na to jedna tylko rada....

Trza się spytać ojca, matki
Jak prowadzą się ich dziatki?—

nikt się na nich nie gniewał?— pomyślał Ślimak. Następnie zaś przypomniał sobie, że przy zwózce piasku i żwiru były nietylko furmanki niemców, ale i chłopskie. Zatem i chłopom wolno zarabiać przy kolei, nietylko szwabom... Dlaczegóż więc jego wypędzono?

Później przypomniał sobie Fryca Hamera, jego ściągnięte brwi, jego rozmowę z pisarzem — i zrozumiał, co się dzieje. Oto wygnali go za namową kolonisty... Bo i dlaczegóż to niemcy ukradkiem wyjeżdżali z domu na robotę? Widocznie, aby ich Ślimak nie podpatrzył. Albo dlaczego Fryc Hamer wypędził Jędrka, kiedy chłopak pytał parobków, gdzie jeżdżą? Znowu dlatego, ażeby Ślimak nie dowiedział się o korzystnej robocie.

— O, psie wiary! chytre Judasze! żydów prześcignęły!—mówił chłop, a w sercu gniew mu kipiał.

Razu pewnego spotkawszy bakałarza, Ślimak poskarżył mu się na kolonistów.

— Co prawda, zalewacie wy im sadła za skórę— rzekł bakałarz, wysłuchawszy narzekań chłopa.

— Co ja im robię?

— Wasze grunta leżą na środku Hamera, co mu psuje gospodarstwo—mówił bakałarz.—Ale to jeszcze nic. Hamer myślał, że mu sprzedacie bodajby tę górę z sosną, gdzie chce postawić wiatrak.

— Co im po wiatraku, kiej mają tyle ziemi?

— Mieliby większy zarobek. Jak zaś Hamer nie zbuduje wiatraka to na przyszły rok z pewnością wybuduje go Gede, dla swego siostrzeńca.

— To czemu Hamery nie stawiają na swoim gruncie?

— Bo oni mają same niziny. Najżyźniejszy to grunt ze wszystkich kolonij, ale wiatraka na nim nie postawi...—mówił bakałarz.

— A cóż ich ten wiatrak opętał!—przerwał gniewnie Ślimak, uderzając pięścią w płot.

— Wielki to interes — odparł ciszej bakałarz. — Gdyby Fryc miał wiatrak, to za dwa tygodnie ożeniłby się z córką młynarza Knapa z Woli i wziąłby za nią dwadzieścia tysięcy rubli... Dwadziescia tysięcy rubli! A jak tych pieniędzy nie będzie, to Hamerowie mogą zbankrutować! Dlatego gdybyście im sprzedali wasz grunt, oniby wam dobrze zapłacili i sami wyszli z kłopotów.

— Nie sprzedam —odparł chłop. — Kiedy chłop raz wyjdzie z ojcowizny, to już i po nim...

— Będzie bieda—rzekł bakałarz.

— To niech będzie. Ja dla nich nie zginę dobrowolnie.

Odtąd wychodził często na wzgórze przypatrywać się robotom około kolejowego nasypu, a i bliżej jego chałupy w kolonii niemieckiej nie ustawały coraz to nowe roboty.

Pewnego dnia zauważył, że Hamerowie na swojej stronie Białki z wielkim pośpiechem w niższych miejscach budują nasypy, jakby lękając się, że w czasie przyboru rzeka może zalać im pola.

— Mądre szwaby!—myślał chłop.—Wartoby i na naszym brzegu zrobić to samo... — Więc układał sobie, że, jak zbierze siano, wówczas oddzieli swoje pole wałem od niemieckiej łąki, a plecionym płotem umocni podstawy wzgórz. Zdawało mu się nawet, że już dzisiaj, kiedy jest tyle wolnego czasu, możnaby wziąć się do stawiania płotów, ale— jak zawsze— począł odkładać robotę z dnia na dzień.

Nie spodziewał się, jak straszne za to spotka go nieszczęście.

Był początek lipca. Lato tegoroczne odznaczało się wielkiemi upałami. Doświadczeni gospodarze lękali się albo długich deszczów na żniwa, albo gradowej burzy.

Istotnie, przyszła burza.

Ranek tego dnia był gorący i duszny; ptaki niewiele śpiewały, świnie nie chciały żreć i zmęczone kryły się między budynkami. Wiatr zrywał się, to słabnął; raz był suchy i gorący, to znów chłodny i wilgotny. Około dziesiątej znaczna część nieba zasunęła się ciężkiemi chmurami, które z popiejatego przeszły w kolor żelazny, gdzieniegdzie zupełnie czarny. Zdawalo się, że w górze palą się sadze, które w olbrzymskich kłębach rozbiły się nad ziemią, i szukają miejsca, gdzieby opaść.

Nagle za wsią kościelną ukazał się rudy obłok, szybko lecący wzdłuż kolejowego nasypu. Wiatr zachodni dmuchnął silniej, z gościńców i ścieżek zerwały się gęste tumany kurzawy, a rozwalające się po niebie chmury zaczęły głucho warczeć.

Na ten odgłos kopacze, pracujący przy kolejowym nasypie, porzucili narzędzia i poszli ku stojącym na polu barakom. Zajęci przy budowie koloniści i chłopi, wysypawszy piasek z wozów, pędzili cwałem do domu. Z pola zgoniono bydło, kobiety cofnęły się z ogrodów pod strzechy; świat opustoszał.

Zdawało się, że wobec czarnych kłębów, obładowanych piorunami, ziemia przysiadła i z trwogą śledzi burzę, jak kuropatwa ważącego się nad polem jastrzębia. Krzaki tarniny i jałowcu cicho poświstywały; zaniepokojony kurz zrywał się z gościńca i krył między zbożem. Młode kłosy szumiąc tuliły się do siebie, woda w rzece zmętniała. Daleki las huczał.

Nagle coś rozdarło się od nieba do ziemi i w rzekę uderzył piorun. Chwilka... połowę nieba przeleciała znów błyskawica i drugi piorun uderzył w las. Potem padła na ziemię jedna wielka kropla, za nią druga... setna... tysiączna... Wreszcie jedno ziarno lodu, drugie... setne... Wichry dmą pobudkę, deszcz bębni, chmury jak psy puszczone ze smyczy wyją, tłoczą się, depczą; jedna kropla popędza drugą, ścigają się, wyprzedzają, nareszcie łączą się w strumienie, płynące od nieba do ziemi. Słońce zgasło, a deszcz i grad zlały się w zbitą masę. Migotliwe światło błyskawic zda się ukazywać na ziemię i wołać: „Tu bij! tu siecz!"

Po godzinnej ulewie zziajana burza spoczęła, a wówczas było słychać szum Białki, która już wystąpiła z koryta. Całą szerokością gościńców płynęły brudne wody, strumienie szeleściały po bokach wzgórz, łąki były zalane, z drugiej strony nasypu utworzyło się jezioro.

U Ślimaków podczas burzy zebrali się wszyscy w pierwszej izbie. Owczarz na rogu ławy ziewał. Gospodyni chodziła z kąta w kąt gniewna, że deszcz zalał ogień na kominie, a Ślimak wyglądał oknem, myśląc, czy ulewa nie zniszczy mu urodzaju? Tylko Jędrek był wesoły, wybiegał przed dom, moknąc na deszczu do nitki, a potem ze śmiechem wpadał do izby, namawiając Magdę i Staśka, ażeby szli z nim razem.

— Chodzi, Stasiek! — mówił, ciągnąc brata za rękę. — Taki deszcz ciepły, że ha! Ino cię zmyje, a zara się rozweselisz...

— Zostaw go, a i sam po dworzu nie lataj, bo mi całą izbę zalejesz—rzekła matka.

W tej chwili uderzył piorun.

— Słowo stało się ciałem...— szeptała kobieta.

Magda przeżegnała się, Owczarz przetarł oczy, lecz znów począł drzemać, a Ślimak mruknął:

— Gdzieś blisko...

Jędrek z uśmiechem przysłuchiwał się łoskotowi gromu.

— Niech strzela — wołał.— Jak mnie wezmą do wojska, to jeszcze lepiej będą strzelać i nic mi nie zrobią...

Jenen tylko Stasiek chodził smutny i drżący na calem ciele. On wraz z ptakami przeczuł nadciągającą ulewę i od rana tulał się po domu senny i niespokojny. Od błyskawic oczy gy bolały, a każde uderzenie piorunu, zdawało się, że trafia go w głowę i serce.

I było mu bardzo źle. Niekiedy zamykał oby, aby nie widzieć błyskawic, ale wówczas zdawało mu się, że widzi błyskawice wewnątrz siebie i przejmował go strach. Niekiedy zatykał uszy, aby nie słyszeć grzmotów, ale i wtedy czuł, gdy one spadały. Chodził więc z izby do alkierza, a z alkierza do izby, jak błędny; czasem wyglądał przez okno, albo pokładał się na ławie. Było mu źle, wszędzie źle...

Matka, widząc go takim markotnym, myślała, że musi być głodny, podała mu kromkę chleba. Chłopiec wziął chleb do ręki, kawałek ugryzł, lecz zamiast jeść — rozpłakał się.

— La Boga Świętego! Stasiek, co tobie jest? — krzyknęła matka.—Boisz się, czy co?

— Ni....

— To czegoś taki niemrawy?

— Bo mnie trapi— wyszeptał, wskazując rękami na piersi.

Ślimak, którego także trapiła obawa o plony, pogłaskał Staśka i rzekł:

— No, no, nie frasuj się; nie frasuj.... Choćby się Panu Bogu podobało zniszczyć nam zasiewy, to przecie z głodu nie umrzemy.

A zwracając się do żony, dodał:

— Widzisz, że choć on z was najmniejszy, ma rozum najlepszy, bo frasuje się gospodarstwem.

Burza ucichła; Ślimak jednocześnie zauważył szum jakiś niezwykły w stronie rzeki. Chłop prędko zdjął buty i podniósł się z ławy.

— Gdzie idziesz?—zapytała żona.

— Wyjrzę—odparł—bo coś jest tam niedobrego.

Wyszedł i po upływie kilku pacierzy wrócił zadyszany.

— A co, jakem zgadł!—zawołał od proga.

— Zboże nam wytłukło?—krzyknęła kobieta.

— Zbożu nie wiele złego —odparł — ale kolejownikom przerwało groblę....

— Jezu! Jezu!

— Woda wali przez łąkę i sięga naszego podwórka. A że szwaby postawiły na swoim brzegu tamę, więc nam ujadło kawałek góry.

— La Boga! I duży?

— Nie duży, ale zawdy jakby ze dwa pręty. I tego szkoda.

—A do stajni nie zaglądaliśta?—spytał Owczarz.

— Jakże by nie? W stajni woda, w oborze woda, wreszcie i tu w sieni pełno wody. Deszcz już ustaje, a na zachodzie czysto. Zara trza wylać, bo dobytek się pochoruje.

Gdy słońce wyjrzało zza chmur, już dom Ślimaka był w ruchu. Na kominie płonął ogień, gospodyni z Magdą osuszala sień, gospodarz z parobkiem wylewał wodę ze stajenki.

W miarę ustawanie burzy, Stasiek uspokajał się. Nie łupało go w głowie, nie kłuło w rękach, ani po skórze nie chodziło coś, jakby mrówki. Jeszcze niekiedy zdawało mu się, że grzmi; wytężał słuch... nie, nie grzmoty. To ojciec z Owczarzem wylewają wodę ze stajni, tłuką szuflami o próg.

A w sieni bieganina i hałas; to Jędrek, zamiast wybierać wodę, droczy się z Magdą.

— Ej Jędrek, ustatkuj się!—wołała matka — bo jak złapię co twardego, narobię ci siniaków...

Ale Jędrek śmieje się jeszcze lepiej, a i w głosie matki czuć, że, choć się gniewa, jest wesoła.

W serce Staśka wstępuje otucha. Gdyby też wyjrzeć na podwórko? Lecz nuż zobaczy nad chałupą taką straszną chmurę, jak przed burzą? Ii, co tam! Wychylił za drzwi głowę, spojrzał, i zamiast chmury zobaczył błękit niebieski; poszarpane obłoki mkną gdzieś na wschód, za wzgórza i lasy. Kogut, załopotawszy skrzydłami, zapiał—i zza chałupy pokazało się słońce. Na krzakach, na zbożu i trawie błyknęły krople rosy, ciemną sień przecięły złote smugi, w czarnych kałużach odbiło się pogodne niebo.

Staśka opanowała dziecinna radość. Wyleciał na podwórko i zaczął biegać po największej wodzie, ciesząc się, że mu zpod nóg wytryskuje woda. Potem, zobaczywszy kawałek deski, cisnął ją na kałużę, stanął na niej z patykiem w ręku i wyobrażał sobie, że pływa.

Tymczasem po drugiej stronie rzeki zebrała się gromada niemców. Dostrzegli oni na powierzchni Białki płynące szczapy drzewa i postanowil je wyłapać. Gdy udało się im upolować większą sztukę, śmiejąc się, krzyczeli hura! A gdy odrazu nadpłynęło kilka szczap, ogarnęła ich taka radość, że chórem zaczęli śpiewać.

Stasiek zeskoczył ze swej deski. Zapomniał, gdzie jest, tylko słuchał, skamieniały z zachwytu.

Niemcy wciąż śpiewali.

Chłopak nie słyszał wyrazów, tylko zdawało mu się, że zza rzeki płyną jakieś fale, które go obejmują, i niby pieszcząc, gwałtem ciągną do siebie. Chciał pobiedz ku domowi i zawołać Jędrka, ale nie mógł nawet odwrócić głowy; chciał stać w miejscu, ale coś pchało go naprzód

Zaczął więc iść, jak odurzony, zwolna, prędzej, coraz prędzej, wkońcu zaczął biedz i zniknął za pagórkiem.

Nagle śpiew umilkł, a po chwili rozległy się krzyki:

— Bywaj! bywaj!

Ślimak i Owczarz przerwali robotę w stajni i z szuflami w rękach przysłuchiwali się pieśni niemców. Nagła cisza i następne krzyki zdziwily ich obu, parobka coś tknęło.

— Lećcie no, gospodarzu —rzekł Maciek— czego oni się drą?

— Bywaj!—wołano zza rzeki.

Slimak pobiegł pędem, a za nim, kulejąc, wlókł się Owczarz. Właśnie wstępował na wzgórze, kiedy dognał go Jędrek, pytając:

— Co się tam wyrabia? Gdzie Stasiek?

Uszu Owczarza doleciały zdaleka jakieś wyrazy. Przystanął i usłyszał głos, wołający za wodą:

— Taki to u was dozór! polskie bydło!

Wtem na zboczu pagórka ukazał się Slimak, trzymający w objęciach Staśka. Glowa chłopaka spoczywała na ramieniu ojca, prawa ręka wisiała opuszczona bezwładnie. Z obu spływala brudna woda.

Slimak miał sine usta i oczy szeroko roztwarte,

Jędrek, poślizgując się na błotnistym wzgórzu, zabiegł mu drogę.

— Co Staśkowi, tatulu?— zapytał przestraszony.

— Utonął....—odparł chłop.

Jędrek z zaciśniętemi ustami przyskoczył do ojca.

— Ach nie!..—krzyknął.—Przecie on u was siedzi na ręku...

I szarpnął Staśka za koszulę. Głowa dziecka opadła na wznak przez ramię ojca.

— Widzisz, że utonął—szepnął Slimak z boleścią.

— Co wy gadacie? —krzyczał Jędrek— przecie on dopiero co był na podwórku!

Chłop nie odpowiedział nic. Oparł znowu głowę Staśka na swojem ramieniu i szedł do chaty.

Przed sienią stała Slimakowa. Jędną ręką oparła się na niecce, drugą przysłoniła oczy i przypatrywała się idącym.

— No, a coście tam zmalowali? — zawołała. — Cóż to? Na Staśka znowu padło? Nieszczęście nasze z tymi szwabami i z ich psiem nabożeństwem. I znowu coś na chłopaka padło....

Przystąpiła do męża i, ująwszy Staśka za głowę, mówiła chwilami drżącym głosem:

— No, Stasiek... No, dziecko moje... oprzytomnij... rozejrzyj się... Nic ci nie zrobię.... Magda, daj wody...

— Ma on dość wody—mruknął Slimak.

— Co jemu jest?—pytała matka z coraz większem przerażeniem.—Czemu on taki mokry cały?

— Dopierom go z wody wyjął...

— Gdzie z wody? — zakrzyknęła kobieta z rozpaczą.

— Z tego dołka, co za górą — odparł chłop.— Wody tam po pas, ale jemu wystarczyło.

— On wpadł!—jęknęła kobieta, chwytając się za głowę.—Więc co go trzymasz.. Kiedy wpadł, to wylejcież z niego wodę. Maciek! bierz go za nogi... Przewróćta go. O, głupie chłopy!

Ale parobek nie ruszył się. Więc sama schwytała chłopca za nogi i wydarła go ojcu. Stasiek zawisł głową nadół, rękami ciężko uderzył o ziemię, a z nosa popłynęło mu trochę krwi.

Teraz Owczarz wyrwał jej dziecko i zaniósł do izby na ławę. Za nim poszli wszyscy, z wyjątkiem Magdy, która zakręciła się nieprzytomna po dziedzińcu; nagle poczęła biedz, wołając:

— Ratujcie! Staśka ratujcie! kto w Boga wierzy.

W chacie Slimak chodził tam i napowrót, bezładnie machając rękoma.

Jakiś głos wewnętrzny wołał w nim:

— Ojcze, ojcze! żebyś ty był górę ogrodził płotem, nie utonęłoby dziecko....

Nagle wszedł bakałarz z laską w ręku, bez czapki.

Po drodze dopytywał, jak się miewa Stasiek, ale nie otrzymawszy odpowiedzi, przystąpił do chłopa i kazał odejść matce. Stary wysunął ławę, zdjął ze Staśka przemoczoną koszulę, a następnie siłą wydobył mu język, a ułożywszy wzdłuż bioder ręce Staśka, podniósł je do góry, aż poza głowę, a potem znowu przeprowadził ku biodrom. Znowu je podniósł, znowu opuścił, i tak podnosił i opuszczał, ażeby tym ruchem wywołać w dziecku oddech. ‡) Slimak przypatrywał się zza okna, osłupiały Jędrek stał pod kominem, matka szlochała. Wkońcu, nie mogąc zapanować nad sobą, kobieta zerwała chustkę i, schwyciwszy się rękoma za włosy, poczęła bić głową o ścianę, jęcząc:

— O dziecko moje złote... tyle chorób wytrzymał i patrzajcie się... teraz utonął! O miłosierny Boże! za cóżeś mnie tak ciężko skarał?

Osunęła się po ścianie na kolana i, klęcząc, zaryczała rozdzierającym głosem.

Z pół godziny bakałarz pracował nad otrzeźwieniem Staśka. Poruszał mu ręce, ugniatał piersi, rozcierał ciepłemi szmatami ciało i słuchał, czy nie odezwie się serce. Ale chłopak nie dał znaku życia....

Na drugi dzień, skoro świt, wziął się Slimak do roboty trumienki. Rybił ją cały dzień, a kiedy przypomniał sobie, jakim on jest stolarzem, — ogarnął go taki żal, że cisnął robotę i wybiegł na gościniec, nie wiedząc, dokąd leci.

Trzeciego dnia zaprzągł Owczarz konie do wozu i, położywszy na nim trumienkę ze Staśkiem, zwolna pojechał do kościoła. Za wozem szli Slimakowie i Magda, a najbliżej Jędrek, który, przytrzymując trumnę, aby się nie chwiała, nasłuchiwał, czy kochany brat nie ocknie się i nie odezwie?...

Ale Stasiek milczał. Milczał, gdy zajechali pod kościół, a jegomość pokropił go wodą święconą. Milczał, gdy odwieźli go na cmentarz i tam z trumną postawili na ziemi. Milczał, gdy ojciec, matka i Jędrek z jękiem żegnali go poraz ostatni. Milczał i wtedy, gdy ciężkie grudy ziemi poczęły walić mu się na trumnę...

Nawet Owczarz zalał się łzami, Slimak tylko odwrócił się i zakłonił twarz sukmaną, nie chcąc, aby inni widzieli, że płacze.

I w tej chwili coś mu do serca szeptało: ,,Ojcze, ojcze! żebyś ty był górę ogrodził płotem, nie utonęłoby dziecko.''

Po pogrzebie wrócili Slimakowie z Jędrkiem do domu. W domu cisza jakaś zaległa wszystkie kąty. A ta cisza taka straszna była, a taka smutna, że biedna matka znowu w głos zapłakała za dzieckiem swojem, za kochaniem swojem najmilszem. Slimakowi, który choć nie okazywał tak wielkiego żalu, łzy jak groch spłynęły po twarzy, lecz otarłszy je rękawem, począł żonę pocieszać:

— Nie płacz, Jagna — mówił — taka znać wola Boża była... przestań — nie godzi się sprzeciwiać mądrości Pana Boga—to grzech.

Tak pocieszał żonę Slimak. Uspokoiła się Jagna. Rzuciła się na kolana przed obrazem Matki Boskiej bolesnej, i poczęła cicho i przez łzy modlić się do tej Pocieszycielki strapionych. Biedne serce macierzyńskie z całem podniesieniem ducha, z całą ufnością, otworzyło się przed Najświętsza Panienką, i żal i skarga smutna popłynęła do nieba—ale zarazem taki spokój i cisza wstąpiła w duszę Jagny, ten smutek i cierpienie tak ją podniosły, tak uszlachetniły, tak oczyściły i oderwały od wszystkiego co ziemskie, że kiedy po śmierci ukochanego dziecięcia rozpacz ją ogarniała, i bezprzytomnie wołała: ,,Boże mój, czemuż Ty mi syneczka zabrał najmilszego'' -to teraz z całem poddaniem się Jego woli, głośno, spokojnie a wyraźnie rzekła: „Bądź wola Twoja! — bądź wola Twoja!" I tak klęcząc wszystko troje zmówili pacierze za niewinną duszyczkę dziecięcia, dla ukojenia serc swoich.

V. Nowe Biedy.

Zapadła jesień. Zamiast jasnych łanów szarzały smutne ścierniska, w jarach czerwieniły się krzaki, bo-

‡) Sposoby, jakich używał bakałarz, są najlepsze do odratowania umierających topielców. Nigdy zaś nie należy przewracać topielców do góry nogami, jak to uczyniła Ślimakowa.

ciany ze stodół odleciały daleko na południe.

Kolej żelazną już ukończono. Ślimakowie ze zdumieniem patrzyli, jak kocioł parowy, gwiżdżąc przeraźliwie, mknął naprzód bez niczyjej pomocy i jeszcze ciągnął za sobą cały szereg wozów.

Z ukazaniem się pierwszej lokomotywy, zaczęły się w okolicy nieznane dotąd kradzieże. Od garnków, suszących się na płocie, i zapasowych kół na dziedzińcu, do drabin w szopach i koni w stajniach, wszystko ktoś kradł.

Ślimakowi pierwsza lokomotywa także nic dobrego nie przyniosła. Paszy dla bydła trudno się było dokupić, za to o zboże nikt się u niego nie pytał, parę fasek masła starzało się w piwnicy, a drób sami jedli, bo i na to nie zdarzał się kupiec.

Ciężka boleść po stracie dziecięcia koiła się zwolna. Czasem tylko matka położyła jedną łyżkę zawiele i spostrzegłszy się, obtarła oczy fartuchem; to znowu Magda, wstając, Jędrka przez prędkość nazwała Staśkiem; to znowu Kurta obiegał niekiedy budynki, jakby kogoś szukał, a nie znalazłszy, przypadał łbem do ziemi i szczekał.

Jędrek najmocniej uczuł śmierć brata! Z tego powodu nie lubiał nawet siedzieć w izbie, lecz gdy nie było roboty, uciekał do bakałarza i tam przez ciekawość zaglądał do książki.

Gdy jednego razu przyniósł do chałupy elementarz i pokazał, co umie, uradowana Ślimakowa posłała bakałarzowej dwie kury i pół kopy jaj, Ślimak zaś obiecał, że da pięć rubli, jak Jędrek zacznie modlić się z książki, a doda dziesięć, jeżeli nauczy się pisania.

Każdy dzień przekonywał Ślimaków, że paszy mają za mało, a krów za dużo... Nie mówili o tem ze sobą, ale wszyscy w domu o tem tylko myśleli. Myślała gospodyni, widząc coraz mniej mleka w skopku, i Magda, która, tknięta niedobrem przeczuciem, codzień pieściła się z krowami, i Owczarz, bo nawet ko niom ujmował po garstce siana, aby podrzucić je bydlątkom. Ale najwięcej chyba myślał sam Ślimak, bo nieraz stawał przed oborą i wzdychał.

Jednej nocy zerwał się z pościeli i usiadł na tapczanie.

— Co tobie Józek?—zapytała żona.

— Oj! Śniło mi się, że nam paszy całkiem zabrakło i wszystek dobytek wyzdychał.

— W imię Ojca i Syna... Ktoby tam w sny niedobre wierzył...

— Jużci na pięć ogonów paszy nam nie starczy, to darmo—rzekł chłop. — Kalkuluję se w głowie, ale na nic...

— No, więc co zrobisz?

— Bo ja wiem, nieszczęśliwy.

— Mażeby...

— Chybaby sprzedać z jedno?—dokończył chłop.

Słowo padło. W dwa dni później Ślimak, zaszedłszy po okowitę do karczmy, coś napomknął Josielowi o krowie, a zaraz w poniedziałek przyszli dwaj rzeźnicy z miasteczka.

Ślimakowa wcale z nimi nie chciała gadać, a Magda zaczęła szlochać. Wyszedł tedy na dziedziniec Ślimak.

— Ny, co to gospodarzu— zaczął jeden z rzeźników—chcecie sprzedać krowę?

— Bo ja wiem...

— Która to, pokażcie ino.

Ślimak milczał, aż musiał odezwać się Owczarz.

— Już jak sprzedać, to chyba Łysą...

— Wyprowadźcie-no ją—nalegał rzeźnik.

Maciek wszedł do obórki i po chwili wyprowadził nieszczęsną krowę. Zdawała się być zdziwioną, że ją wyciągnęli na dziedziniec w niezwykłej porze.

Rzeźnicy obejrzeli Łysą i zapytali o cenę.

— Bo ja wiem?—odparł Ślimak.

— Co dużo gadać! Sami widzicie, jakie to stare bydlę. Damy piętnaście rubli.

Ślimak znowu umilkł, więc Owczarz musiał go wyręczać w targu. Żydzi krzyczeli w niebogłosy, zaklinali się, szarpali krowę na wszystkie strony, a w końcu dali ośmnaście rubli. Jeden założył stworzeniu powróz na rogi, drugi machnął ją kijem po łopatce i —w drogę.

Krowa, poczuwszy widać zapach krwi, nie chciała ruszyć z miejsca. Naprzód skręciła do obory, ale rzeźnicy odciągnęli ją ku gościńcowi, potem ryknęła tak żałośnie, że Owczarz się przeraził, a wkońcu oparła się wszystkiemi nogami o ziemię, patrząc na Ślimaka wywróconemi oczyma, z których patrzył żal i przestrach. Zdało się, że mówi:

— Gospodarzu, a dyć spojrzyjcie, co oni ze mną wyrybiają, te żydy... Przecie oni chcą mnie zabrać i zarżnąć! Ujmijcież się za mną, gospodarzu!

Ślimak milczał. Wtedy krowina, widząc, że już nic jej nie uratuje, obejrzała się ostatni raz po dziedzińcu i —poszła za wrota.

Ślimak ze zbolałem sercem szedł za nią. Na moście przystanął, i oparty o poręcz, bezmyślnie patrzył na wodę. Ot, zepsuło się coś w zagrodzie! Roboty niema, zboża nikt nie kupuje, w lecie zginął mu syn w jesieni ginie bydlątko, a co zima przyniesie?

Nagle usłyszał głos starego Hamera.

— Nie do nas idziecie, gospodarzu?

— Poszedłbym,—odparł Ślimak — żebyście mi paszy sprzedali.

— I pasza nie pomoże, — mówił stary z fajką w zębach—bo chłop między kolonistami rady nie da sobie. Ale sprzedajcie mi swoje grunta. Sto rubli dam za morgę!

Ślimak aż złożył ręce ze zdziwienia i, pokiwawszy głową, odparł:

— Czy was, panie Hamer, opętało, czy co?.... Mnie na smutek zię zbiera, że z waszej łaski musiałem sprzedać bydlę, a jeszcze chcecie, żebym wam sprzedał wszystko, całe mienie! Toćbym chyba trupem padł u progu, żeby mi się przyszło wyprowadzać z chałupy, a już zza wrót, tobyście mnie prost na cmentarz odwieźli. Dla was, niemcy, wyprowadzić się z miejsca, to nic, bo wy błędny naród, dziś tu, jutro tam. Ale chłop, to jak ten kamień przy drodze... Ja tu każdy gąt wiem na pamięć, wszędzie pociemkubym trafił, każdą grudkę ziemi własną ręką obróciłem, a wy mi gadacie: ,,sprzedaj i idź w świat!'' Gdzie ja pójdę, kiedy jak mi wypadnie jechać bodaj za kościół, to bez mała ślepnę i trwożę się, bo w koło mnie wszystko nieznane. Spojrzę na las -- inaczej wygląda niż z domu; patrzę na krzak—takiegom kole nas nie widział; ziemia także jest odmienna, a nawet samo słońce inaczej niż u nas wschodzi i zachodzi. A co jabym z żoną robił, co z chłopakiem, żeby mi się przyszło stąd ruszyć? A cobym powiedział, gdyby mi drogę zastąpili ojcowie, rzekąc: ,,La Boga, Józek! gdzież my cię będziemy szukali i czy twój pacierz trafi do naszych grobów, kiedy się wyprowadzisz na koniec świata?'' Co ja im powiem, albo i Staśkowi, który głowę tu położył?

Hamer, słuchając tego, drgał z gniewu; mało fajki nie rzucił na ziemię.

— Co ty mi za bajdy pleciesz!—zawołał.— Mało to waszych sprzedało gospodarstwa i poszło w świat? Ojciec do niego przyjdzie po śmierci! słyszał kto? Ty patrz, żebyś przez upór sam nie zginął i mnie nie zgubił. Płacę sto rubli, niebywałą cenę, a on mi baje, że gdzieindziej żyć nie potrafi!

— Gniewajcie się, nie gniewajcie, a ja gruntu nie sprzedam.

— Sprzedasz ty go, — odparł Hamer, wygrażając pięścią— ale już ja nie kupię! Roku między nami nie wysiedzisz....

I, odwróciwszy się, szedł ku domowi.

— A chłopak twój niech mi się nie włóczy na kolonii — dodał, stając. — Nie dla was sprowadziłem bakałarza....

— Wielka rzecz! to i nie będzie chodził, kiedy mu zazdrościcie powietrza w izbie — mruknął Slimak.

— Ojciec głupi, niech i syn będzie głupi! — krzyknął Hamer.

Rozeszli się.

(Dokończenie nastąpi.)

Widno pokutujące na Śpiżu.

(Patrz rycinę na str. 805)

Na ziemi spizkiej, która dziś do Węgier należy, znajdują się gruzy zamczyska, w którem, jak lud okoliczny twierdzi, pojawia się około północy duch pokutującej dziewicy, z pękiem kluczy u pasa, w białej szacie z rozwianym włosem. Przed kilkunastu laty żył w tym zamku dumny magnat węgierski, który zabił syna jedynaka swemu sąsiadowi. Ów magnat miał córeczkę, którą serdecznie miłował. Odjeżdżając na wojnę, oddał ją w opiekę siostrze Jadwidze. Ta co dzień zamykała szczelnie wszyskie drzwi i wrota, a dla większego bezpieczeństwa nosiła klucze zamkowe za pasem Mimo to jednak ów sąsiad porwał córeczkę. Magnat węgierski, wróciwszy z wojny, własną ręką uciął głowę swej siostrze, której duch dotąd ma pokutować w zwaliskach zamku. Niejeden wędrowiec, przechodząc obok ruin, twierdzi, że widział widmo białej dziewicy, jak to przedstawia obrazek na str.

WIEŚCI ZE ŚWIATA

Kardynał Laviegerie. Dnia 26 ubiegłego miesiąca rozeszła się wieść o zgonie jednego z najznakomitszych mężów tego wieku, o śmierci Kardynała Laviegerie, męża nadzwyczajnych zasług i kapłana pełnego poświęceń.

Kardynał Laviegerie urodził się w r. 1825, w Bayonne, w południowo-zachodniej Francyi, a pochodził z rodziny Basków, szczepu górskiego w Pirynеach sięgającego odległej starożytności, który zachował do dnia dzisiejszego zwyczaje swoje, prostotę, surowość obyczajów i prawość. W dzieciństwie przeznaczony do stanu kapłańskiego, w młodym wieku otrzymał święcenia i stopień doktora św. teologii, a dawszy się poznać z rzadkich zdolności nauczycielskich, został profesorem historyi kościelnej w Sorbonie w Paryżu. Następnie został powołany przez Ojca św., Piusa IX, do Rzymu, gdzie pełnił różne urzędа przy Watykanie a w r. 1863 został mianowany biskupem w Nancy we Francyi. Przez kilka lat jako biskup był powołany do rady wychowawczej, lecz już w r. 1867 wezwano go na stolicę arcybiskupią do Algeru, kraju w północnej Afryce należącego do Francyi. Tu odznaczył się ks. Laviegerie niezmordowaną gorliwością w szerzeniu wiary świętej pomiędzy afrykańskimi ludami. Działalność arcybiskupa sięgała w głąb Afryki, nawet w najbardziej odległe strony wysyłał misye, zakładał domy przytułku, uczył rzemiosł i uprawy roli nawrócone do Kościoła Chrystusowego szczepy. W ostatnich latach przywrócił Ojciec św. w północnej Afryce dawną archidyecezyą Kartaginy i mianował arcybiskupa Kardynałem. Z całym wtedy zapałem zajął się czcigodny Kardynał zniesieniem niewolnictwa i utworzył zakon rycerski „Braci Sahary“, mający na celu niedopuszczać handlu ludźmi, który najdłużej przetrwał w Afryce. Oprócz nadzwyczaj czynnego i pełnego trudów i poświęceń życia, pisał kardynał Laviegerie wiele o teologii i o wychowaniu.— Kardynał Laviegerie zwrócił na siebie uwagę wyznając otwarcie zasadę republikańską, odwołując się na Stany Zjednoczone Ameryki, gdzie będąc obywatelem rzeczypospolitej, można być dobrym katolikiem. A że z przekonania uznał rzeczpospolitą, nie z interesu, to dowód leży w tem, że pod rządami monarchicznymi miałby 90.000 franków rocznej pensyi, podczas, gdy od rzeczpospolitej dostawał tylko 15.000. Zresztą dla siebie bardzo mało potrzebował, żyjąc nadzwyczaj skromnie. Zato na cele dobre, na szlachetne przedsięwzięcia wydawał blisko 2 miliony fr. rocznie, które wpływały z ofiar wiernych.

Wielkiemu temu mężowi i my, Polacy, mamy do zawdzięczenia to, że kiedy przed paru laty znakomity nasz i ulubiony pisarz Henryk Sienkiewicz wybierał się w podróż do Afryki, wtedy kardynał Laviegerie w liście swoim do duchowieństwa sobie podwładnego polecił, aby byli Sienkiewiczowi pomocą i podporą w tej podróży. Przy tem zrobił bardzo sympatyczną wzmiankę o narodzie naszym. Nic dziwnego! Ten, który całe życie poświęcił szlachetnemu dążeniu do zniesienia niewoli, nie mógł pozostać obojętnym na wiekowy ucisk biednego narodu, tak przywiązanego do wiary świętej, a który kiedyś krew w jej obronie przelewał.

Wśród ciągłej pracy, trudów i znoju, wśród życia pełnego gorliwości chrześcijańskiego pasterza i apostolskiego posłannictwa, w klimacie skwarnym począł ten wielki misyonarz na zdrowiu zapadać, dopóki śmierć nie przecięła pasma dni jego świątobliwego żywota. Na kilku lat przed śmiercią kazał na skromnym kamieniu wykuć sobie napis: „Tu spoczywa ten, który był kardynałem Laviegerie, a który dziś jest niczem innem tylko prochem. Przechodniu! módl się za niego.“— Cześć i sława pamięci zacnego kapłana, którego dusza stanęła już przed tronem Najwyższego po zapłatę za życie trudów pełne a w skutkach tak doniosłe, w rozszerzaniu wiary świętej i krzewieniu zasad miłości bliźniego. Niech odpoczywa w spokoju!

Dowiadujemy się, iż w Królestwie Polskiem zniesiono wszelkie środki ostrożności, zaprowadzone z powodu cholery i przywrócono napowrót normalną komunikacyę we wszystkich gminach tamtejszych. Stan ten zdrowia pomyślny pozwala przypuszczać, iż niedługo już wszystkie pograniczne komory cłowe zostaną otwarte.

Język złodziejski. W Berlinie wydał zarząd policyi słownik narzecza złodziejskiego. Już poprzednio, bo w r. 1848, podobna książka obiegała Niemcy. Obecnie jej wydanie rozszerzono, zamieszczając świeżo utworzone wyrażenia złodziejskie.

Co Warszawy przyjechał jeden z przedsiębiorców artystycznych w Ameryce. Cudzoziemiec zwrócił się do salonu artystycznego na Nowym Świecie z oświadczeniem, iż gotów jest złożyć w banku państwa 15.000 rs. tytułem kaucyi, w zamian za co otrzyma od tutejszych artystów odpowiednią ilość dzieł sztuki dla spieniężenia podczas trwania wystawy powszechnej w Chicago. Zarząd spółki wezwał wszystkich celniejszych malarzy na narady, które wobec różnorodności zdań jeszcze nie doprowadziły do ostatecznego postanowienia.

We Francyi, z powodu coraz to częściej powtarzających się zamachów anarchistycznych, panuje wielkie przygnębienie umysłów. Wiele instytucyi, pragnąc uchronić się od zamachów, opłaca anarchistom stały haracz. Takie zakłady jak „Louvre“, „Magasin du Printemps“ utrzymują na swym żołdzie do dwudziestu anarchistów, płacąc im po 120 do 500 fr. miesięcznie.

Dzwon pogrzebowy. W Serecie zachorowało sześcioletnie dziecko Ileny Ihalniczuk na dyfterję. Biedna wieśniaczka zawezwała pomocy lekarskiej dla swego jedynaka i usłyszała z ust szanownego eskulapa niepocieszną wiadomość o nieuleczalności choroby i o koniecznej śmierci dziecięcia. Zrozpaczona matka zwróciła się z modlitwą o pomoc do Boga. Dzień i noc klęczała przy łóżku chorego dziecięcia, jednakże nieubłagalna choroba przemogła i zaczęła się straszna agonja. Ilena pobiegła do cerkwi zapłacić podzwonne. Wróciwszy do domu zapaliła gromnicę i wcisnęła ją do rączki umierającego chłopca, sama zaś uklękła przy łóżku i zaczęła odmawiać modlitwę za konających. Dzwony cerkiewne odezwały się żałośnie. Ilena rwała włosy z rozpaczy i z wycięczenia sił, po długim niewywczasie i ż lu zemdlała. Tymczasem dzięcię zmarło. Gromnica opadła na poduszki, od jarzącego światła zapaliło się łóżko i wszystkie sprzęty w ubogiej izdebce i biedna matka spłonęła wraz z ciałkiem swego jedynaka.

Pod Chojnicami żyje 12to letnia dziewczynka, nie mająca wcale zębów, ale natomiast szczęki z tak twardą z wierzchu chrzęścią, że gryzie i żuje najtwardsze pokarmy. Zęby nigdy się u dziecka tego nie pokazały.

Anglia. Nowe nawrócenia. Przed kilku tygodniami powrócili do Kościoła katolickiego: Lord Donington of Donington Park, Miss Emma Auger i brat jej Tomasz Auger. Nawrócenia te, a szczególniej lorda Doningtona, budzą w Londynie wielkie wrażenie. Lord ten jest jednym z najpoważniejszych i najbogatszych parów Anglii. Ojciec jego, zmarły już Mr. Clifton of Clifton and Lytham of Lancashire, był głową rodziny, która od czasów nieszczęsnej reformacyi pozostała wierną zasadom katolickim, jak wiele innych rodzin w tej części Anglii. Przed 60-ciu laty jednak pan ten przeszedł na anglikanizm i wychował swe dzieci w protestantyzmie. Najstarsza córka jego, dziś księżna Norfolk, została katoliczką na kilka lat przed zamążpójściem, bratanek lord Clifton i bratanka p. Butler-Bowden nawrócili się również niedawno.

Pocieszającą jest też wiadomość o nawróceniu się panny Emmy Auger, powszechnie znanej dotąd stronniczki kościoła ś. Michała w Walthamstow. Brat jej p. Tomasz Beckett Auger, dotąd członek „szkoły-niedzielnej“ przy ś. Michale, został katolikiem niedawno, przed samem nawróceniem się swej siostry.

W Cieszyńskiem Księstwie w Mazańkowicach, naśladowania godny przykład gorliwości o sprawę narodową złożyli obywatele gminy. Przy weselu obchodzonem dnia 15go zm. w gospodzie Franciszka Borgła, który wydawał swoją córkę, wystąpił brat wspomnionego gospodarza Józef Borgiel i w humorystycznej przemowie przedstawił potrzebę złożenia ofiary na „Macierz szkolną,“ wskazując zarazem pożytki, które powstaną z założenia polskiego gimnazyum w Cieszynie. Że jego mowa trafiła do serca gościom weselnym, okazuje się z tego, że urządzona przez mówcę składka przyniosła 30 złr.

Danja. Nowy biskup duński. Biskupa katolickiego w Danji nie było od reformacji w r. 1536. Obecnie ustanowiono biskupstwo, które otrzymał dotychczasowy prefekt, ks. Jan Euch, prekonizowany 8. Września w Osnabruecku, a 21. Października intronizowany ks. Jan Euch przybył przed 32 laty do Kopenhagi i był pierwotnie wikarym przy tamecznym kościele katolickim. Potem 20 lat był proboszczem w Federicji w Jutlandji, poczem mianowano go prefektem. Nowy biskup liczy 58 lat wieku. Władza jego rozciąga się na 8,000 katolików duńskich, ale zarazem i na katolików w Szwecyi i Norwegji.

Francja. Nawrócenie. Depesze telegraficzne do dzienników doniosły z Paryża pod 18. b. m.: Baronowa James Rothshild, wdowa po londyńskim Rothshildzie, a córka frankfurckiego, przyjęła chrzest ś. z rąk biskupa Beauvais. Baronowa ma ma dwóch synów.

Z AMERYKI.

W rocznem sprawozdaniu urzędowem ze stanu Iowa czytamy, że do 30 września br. wywieziono stamtąd 71,563,013 funtów masła, wogóle zaś wyrobiono w tym stanie masła 160,112,921 funtów.

Nowoobrany prezydent Cleveland jeśli zdoła skryć się przed czyhającymi na każdym kroku na niego kandydatami na urzędy, to znowu go prześladują krocie listów z prośbami. Lecz jak powiadają, prezydent kazał sprawić sobie ogromny kosz, do którego idą po kolei wszystkie podobnej treści listy.

W Chicago coraz częściej się powtarzają łotrowskie sprawki rozmaitych niepomiów naszłych tu z całego świata. Każdego dnia policya otrzymuje doniesienia o napadach i rabunkach.

W Cleveland wybuchł 8 bm. pożar w zbrojowni „Long Street Armory“, gdzie się znajdował znaczny zapas amunicyi. Straszna explozya nastąpiła prochów nagromadzonych, wśród której jakby gromem na drobne kawałki pokruszony cały gmach runął. Strata wynosi $150.000.

Zdolności wynalazcze Edisona słabnąć poczęły, rzecby można, że się wyczerpały, a towarzystwa tutejsze, które pomagały mu dotychczas, aby następnie exploatować jego wynalazki, odmówiły mu dalszego poparcia.

Jak olbrzymio powiększają się majątki w Stanach Ziednoczonych dość spojrzeć na tabelę opartą na wykazach podatku dochodowego (in come tax), chociaż przypuścić należy, iż znacznie są one niższe od rzeczywistych dochodów. Kiedy w roku 1847 wymieniono jednego tylko potentata, którego majątek przechodził 5 milionów dolarów, dziś jest takich przeszło 2000. Szczegółowy wykaz milionerów tak wygląda:

250	posiada	więcej niż po 20 milionów	tj.	najmniej	5	miliardów
500	„	od 10 do 20 milionów	„	„	5	miliardów
1000	„	od 5 do 10 „	„	„	5	„
2500	„	od 2½ do 5 „	„	„	6	„
7000	„	od 1 do 2½ „	„	„	7	„
20.000	„	od ½ do 1 „	„	„	10	„

czyli 31.250 jednostek posiada najmniej 30 miliardów dolarów.

Niedawno temu zmarł jeden z największych bogaczy tutejszych Jay Gould, „król kolejowy“ pozostawiwszy olbrzymi majątek, oceniony od 100 do 250 milionów dolarów. Cóż o nim więcej powiedzieć? — Pochowano go.

Pan Teodor Lemke obywatel miasta Detroit wyjeżdża w tym tygodniu jako podróżujący agent ,,Niedzieli'' do kolonii polskich w Stanach Zjednoczonych. Pan Lemke zaopatrzonym jest w odpowiednie dokumenta—i jest upoważnionym do odbierania prenumeraty na nasze pismo. Polecamy go względom Szanownych Rodaków.

Redakcya ,,Niedzieli.''

ZAWSZE JESTESMY NA CZELE

i wojnę wypowiadamy wysokim cenom.

BRYLANTY, ZEGARY, ZEGARKI,





WYRObI SREBRNE.

Patrzcie!

Gwarantowany niklowy zegar alarmowy tylko 75 centów.

Gwarantowane srebrne naparstki tylko 15 centów.

Mamy tylko ograniczoną liczbę tych towarów, kto przyjdzie pierwszy ten lepsze dostanie.

Skład otwarty wieczorem. Mówimy po niemiecku i francusku.

ADOLF ENGGASS,

Hurtowny i detaliczny jubiler

78 Woodward Ave. Detroit.

CZAS KOLEJOWY.

Wszystkie pociągi odchodzą według czasu kolejowego (standard time) t. j. 28 minut później niż czas Detroicki.

DETROIT, LANSING & NORTHERN KOLEJ ŻELAZNA. Stacya w Detroit przy końcu ul. Trzeciej.

3 eleganckie pociągi do Grand Rapids i nazad codziennie wyjąwszy niedzieli. 5 pociągów Expresowych do Lansing iz powrotem codziennie wyjąwszy niedzieli. Wychodzą z Detroit rano o godz. 7.50—10.35. Po południu o g. 1.35; 5.05; 6.10 łączą się na Union Depot w Grand Rapids z Koleją CHICAGO & WEST MICHIGAN.

Pociągi z Grand Rapids odjeżdżają do Chicago rano o g. 8.50 w południe o g. 1.25 i o g. 11.35 w nocy.— Czas podróży 5 godzin i 15 minut. Pociąg odchodzący z Grand Rapids o godz. 11.35 w nocy codziennie ma bez zmiany wagony sypialne, które przychodzą do Chicago o godz. 7.05 rano.

Pociąg wychodzący z Grand Rapids do Charlevoix, i Petoskey o 7.30 rano, do Manistee i Traverse City przybywa o 7. 30 rano i 5. 35 wieczorem.

SAGINAW VALLEY & ST. LOUIS jest najkrótszą linią pomiędzy Grand Rapids i Saginaw. Pociągi odjeżdżają z Grand Rapids o g. 7.20 rano i o 4.15 po poł. Odchodzą z East Saginaw o g. 7.35 rano i o 5.55 po poł. Podróż trwa 4 g. i 15 m.

Wm. A GAVETT Agent Generalny w Detroit. Bióro biletów Ticket Office) i towarowe znajduje się w gmachu zwanym Hammond Building—na dole numer 120 przy ul. Griswold—inne wejście jest także od ul. Fort. Telefon 368.

CHAS. M. HEALD, Gen. Mgr. w Grand Rapids.

GEO.I DeHAVEN, Gen. Pass'r. Agent w Grand Rapids.

TELEFON 1491.

BRACIA GRINNELL

SKŁAD FORTEPIANÓW i ORGANKÓW



Stołki, nakrycia, nuty i przybory muzyczne.

228 WOODWARD AV. DETROIT MICHIGAN.

$50.00

Do wyboru 10 fortepianów tylko po $50.00

$20.00

Do wyboru 4 organki tylko po $20.00

$10.00

Do wyboru 4 dobre melodyony tylko po $10.00

☞ Wyprzedajemy tak tanio aby mieć miejsce na nowe fortepiany i organki, które już są w drodze.

Wszystkie te wyżej wymienione instrumenta zostały odnowione i są w dobrym stanie.

Warunki kupna:

$ 5.00 z góry i po $ 3.00 miesięcznie.

Bracia Grinnell

228 Woodward Ave.

☞ Przyjdźcie jak najprędzej aby wybrać najlepszy instrument.

Zawiadomienie.

Niniejszem polecam się względom Szan Rodaków jako agent sprzedaży

gruntów, lotów i domów

także zabezpieczam domy i sprzęty domowe od ognia w najlepszych kompaniach. Pożyczam pieniądze budującym domy. Interes ten prowadzę już od 4 lat i każdego dotychczas zadowolniłem. Chcący kupić lotę lub dom niech się zgłosi do mnie po bliższe informacye.

Jos. Jurczyk

507 CANFIELD AVE. DETROIT, MICH



Na Świ ta! Na Rowy Rok!

Tanie a piękne i cenne podarunki!

Zegary stołowe, zegarki złote i srebrne, złote okulary po najniższych cenach z pisemną gwarancyą. Naprawiam tanio. Sklep otwarty do 10 g. wieczorem.

WILLIAM ULRICH

zegarmistrz i jubiler 26 lat pracujący w swoim zawodzie.

822 Gratiot Ave. Detroit.

Naprzeciw browaru Stroh.